

Dolar w Warszawie
5.185

CENA PRENUMERATY:

Redakcja i Administracja: Łódź, Piotrkowska nr. 106
Telefon nr. 7-99.

RZYM, 12 czerwca. (Pat) Izba wyraziła Mussoliniemu votum zaufania 361 głosami na ogólną ilość 486 głosów.

Prezydent a parlament.

Jak było do przewidzenia, kryzys prezydencki w Francji został rozwiązany przez głosowanie parlamentu. Inaczej być nie mogło. Konstytucja trzeciej republiki oddaje całą pełnię władzy parlamentowi i uzależnia od niego rząd, oraz całą administrację państwa. Nawet niezależność prezydenta jest fikcją, gdyż ten otrzymuje swój urząd od izb, ukonstytuowanych w zgromadzeniu narodowe i przez postawy tychże izb może być zmuszony do ustąpienia. Zresztą mógłby on utrzymać formalną niezależność i nie wykazywać, ale pod tym kardynalnym warunkiem, iż porządek na reprezentacyjnej roli najwyższego urzędnika rzeczywiście, że w walce politycznej nie będzie stroną. Millerand przeciw temu zwyczajowi konstytucyjnemu wykroczył, był stroną i to taką, która przegrała. Tem samem nie mógł uniknąć naturalnego skutku przegranej.

Zaprzagnął wszakże przed ustąpieniem stoczyć ostatnią batalię, odwołując się do konstytucji i stawiając większość lewicową pod zarzutem, iż ta robi zamach na ustawowo oznaczony okres prezydentury i wytworza fatalny precedens na przyszłość. Rzecznikiem prezydenta był ad hoc mianowany gabinet przedłożony z byłych ministrów Polnarego. Wszakże zwycięska lewica nie przyjęła tego argumentu i nie zmieniła swego postanowienia. — Przeprowadziła uchwałę, iż „izba nie widzi w stosunku z rządem, niekonstytucyjnie ustanowionym“ i w ten sposób wymierzyła cios nie tylko w Marsała z jego gabinetem, lecz w prezydenta Milleranda.

Konstytucja nasza jest wzorowana na francuskiej i podobnie, jak tamta skupia całą władzę państwową w parlamencie. Senat mniej u nas znaczy niż we Francji, a urząd prezydenta jest zupełnie odpowiednikiem pierwszorzutu francuskiego.

Obecność i metody polityczne, jakie na tle konstytucji rozwinęły się we Francji, posiadała dla nas ogromna doniosłość. Wielki kul-

turalny naród, który w niejednej dziedzinie stworzył wzór dla pozostałego świata od pół wieku wysnuwa swa tkaninę polityczną na maszynie, bardzo podobnej do naszej. My robimy to dopiero od lat kilku i popełniamy niemało błędów. Przypatrując się starszym kolegom francuskim, obserwując ich praktykę parlamentarną, ich spory i kryzysy, dochodzimy do lepszego rozumienia jej istotnego sensu i możemy stać niejedną naukę na przeszłość do siebie.

Jak wiele rozprawiano ostatnimi czasami u nas o potrzebie wzmocnienia władzy prezydenta. Byli nawet tacy, którzy utrzymywali, że reformy takiej w sposób niegodny, lecz skuteczny dokonano we Francji i że możemy, który się tem dziełem może poszczycić jest właśnie Millerand. Widzimy dzisiaj, jak kruchem okazało się to dzieło.

Profesorowie uniwersytetu krakowskiego przy współudziale wybitnych prawników innych ośrodków Polski omawiały od dłuższego czasu w specjalnych rozprawach właściwości, oraz ujemne strony naszej konstytucji marcowej. Przeważa ich cześć uskarża się na wszechwładzę samą, na słabość władzy wykonawczej i domaga się rozszerzenia władzy prezydenta.

Otóż przykład Milleranda wskazuje, że w takim ustroju, jak francuski i nasz, jest to postulat zgola niewykonalny, gdyż wyraźnie sprzecywny z wszechwładzą parlamentu i z odpowiedzialnością gabinetu ministrów. Jeżeli w danym razie znajdzie się taka większość, która jest za rozszerzeniem władzy prezydenta i sama gotowa ją dopełnić, to inna większość z podobnych motywów, musi ją zwalczać. Prezydent zaś nie potrzebuje dla siebie większości, lecz nie może jej mieć przeciw sobie, gdyż w takim razie nie może pełnić swego urzędu. Nie pozostaje mu też w ustroju parlamentarnym, jak tradycyjna rola prezydentów francuskich, która nie chciała się zadowolnić Millerand.

J. Mazurski.

Torturowanie i bicie żołnierzy we Lwowie.

Posel Eisenstein (Koło żydowskie) wniósł następującą interpelację:

W lutym r. b. znaleziono u żołnierza Bursztyna, pracującego w warszawie 40 p.n. we Lwowie, jakas gazetę z powodu której tenże został aresztowany i odstawiony do żandarmerji przy ul. Zamarstynowskiej. W żandarmerji poczęto Bursztyna bić, domagając się od niego, by zapłacił kogoś z żołnierzy zna. Bursztyn podał, jako znajomego żołnierza 40 p.n.: Złotolowa Schlomo, Altuskiego Beniamina, Chomysowicza Moszka i Kriegera Szmula. Na skutek tego aresztowano wszystkich czterech szeregowych 40 p.n. i przewieziono ich do żandarmerji we Lwowie, przy ul. Zamarstynowskiej.

Tam spisano protokół i kazano wymienionym podpisać. Przed podpisaniem powzięli prośbę o odczytanie protokołu, a ponieważ spisany protokół był odmienny od ich zeznań, odmówili podpisać, twierdząc, że podpiszą protokół, który będzie zgodny z treścią ich zeznań.

Tu ze strony żandarmerji rozpo-
czła się okropna krwawa praktyka, celem wymuszenia podpisu, a mianowicie:

Altuskiemu Beniaminowi, szer. 40 p. n. włożono między palce ołówki i ścisano je całym siłą ręki, następnie wsadzono rękę między drzwi i naciskano, chcąc w ten sposób udzielić podłuszczenia protokołu, a gdy i te barbarzyńskie praktyki nie pomogły, kazano wszystkim wymienionym szere-

gowcom po kolei się rozebrać do naga, poczem rozpoczęły się następujące tortury. Kopnięciami, rzucając żołnierza na ziemię, jeden z żandarmów siadał na karku, drugi na nogach, trzeci rekiem knebłował usta, czwarty trzymał ręce, piąty kładł szmatę na gołym ciele i lał zimną wodę, szósty — agent cywilny — gruba, dębowa laska okładała swoją ofiarę.

Gdy skutkiem niemiłosiernego pobicia i knebłowania ust szeregowcy popadli w omdlenie, wówczas cucono ich wodą, a gdy bicia zaczęły blednąć o miłosierdzie i za przestanie maltretowania ich, otrzymali odpowiedź, że stanie się to dopiero wówczas, gdy protokół taki, jaki się im przedkłada podpisać, choćby tam nawet było stwierdzenie zamordowania człowieka.

Sterorzyzowani w obawie dalszego maltretowania podpisali sflingowaną treść protokołu.

Po złożeniu podpisów odstawiono ich do sądu wojskowego, który na podstawie protokołu obłożył ich aresztem, gdzie przez cztery miesiące pozostawali w śledztwie.

Najchamniej przy pierwszym przesłuchaniu przez sędziego majora Muellera, w sądzie wojskowym aresztowani przedstawili faktyczny stan rzeczy i okazali ciała pokryte ranami i wielkimi sińcami.

Na rozkaz pana sędziego majora Muellera, lekarz więzienny zbadał pobitych i sporządził protokół

Marszałek Piłsudski u łóżka konającego legionisty.

„Głos Prawdy“ donosi, że w pierwszych dniach maja rodzina leżącego w Otwocku w beznadziejnym stanie por. Wacława Łapczyńskiego, legionisty 2-oj brygady, przedłożyła marszałkowi Piłsudskiemu prośbę dogorywającego porucznika, który przed śmiercią chciał jeszcze zobaczyć komendanta.

Marszałek zjawił się natychmiast u łóżka por. Łapczyńskiego, który na widok Jego uniósł się na poduszkach, dziękując za odwiedzinę, za wyróżnienie, które jest dla niego największą nagrodą za trud wojenny.

Popłynęły słowa radości najwyższej. I opadła głowa porucznika na pierś Komendanta, który ją mocno, serdecznie uściskał.

Nazajutrz, dnia 14 maja, odszedł spokojnie w zaświaty duch prawego żołnierza Polski, Wacława Łapczyńskiego.

W rękach martwego już ciała pozostała fotografia Wodza, a na ustach zastygło Jego imię.

500 złotych i zielona granica.

Wysokie opłaty od paszportów zagranicznych, zaprowadzone przez prez. ministrów Grabskiego, przeciwko czemu obecnie występuje sejm, chcąc na zasadzie swej władzy uregulować te opłaty w drodze ustawy, doprowadzając je do norm właściwych, są przyczyną zjawisk bardzo niezdrowych.

Naprzekąd w okręgu wadowickim wielu robotników zakontraktowano do rabania lasów w Czechosłowacji na warunkach bardzo korzystnych. Ale kiedy przyszło do wyjazdu, zażądano od tych robotników za paszporty po 500 złotych! Rzecz prosta, że przedsiębiorcy ciężar tego na siebie wziąć nie mogli i... nasi robotnicy nie pojechali. W ten sposób ludzie ci stracili dobry zarobek, a znaczne sumy pieniężne, któreby z ich oszczędności wpłynęły do kraju, także rozplynęły się we mgłę.

Natomiast zyski państwa z wysokich opłat są bardzo iluzoryczne. Przez granicę w Cieszylinie (a podobnie i w Katowicach do Niemiec), przejeżdża bardzo wielu sprytnych „obywateli“ za trzydniowymi przepustkami. Po drugiej stronie w Cieszylinie czeskim, oświadczając, że ajda do Karlsbadu, czy innego badu, dostają od Czechów zniżki 33 procent na kolejach, a ponadto jeszcze jako dodatkowe wdzięczności paszporty zagraniczne gdzie chcą, z którymi jeżdżą po świecie. Potem wracają do Cieszyńska, dostają trzydniowe przepustki czeskie, wjeżdżają z nimi do Polski i... dra przepustki. A państwo z nich ma figę. Ale natomiast gdy w drodze legalnej, służbowo, za paszportem dyplomatycznym jedzie za granicę prof. uniwersytecki, to musi przedkładać metrykę żony, która z nim jedzie, dzieci, świadectwa prze różne i świadectwo moralności żony też! A na zakończenie przychodzi posterunkowy policji i wypytuje stróża domu, czy pan profesor prawdę powiedział!

Jak w tem świetle wygląda obecne przepisy i opłaty paszportowe?

Niebezpieczny człowiek z wydziału bezpieczeństwa.

Warszawski „Expres Poranny“ przynosi sensacyjną opowieść o pobiciu jednego z wywiadowców policji państwowej przez naczelnika wydziału bezpieczeństwa publicznego w min. spraw wewnętrznych p. Piłckiego. Powodem zajścia był fakt, że jeden z posterunkowych na dworcu gdańskim zatrzymał żonę p. Piłckiego, usiłującą wyjść z dworca w sposób łamiący ustalony porządek.

P. Piłckiego odprowadzono do komisariatu. W chwili przesłuchania p. Piłckiego w komisariacie, wpadł tam, jak pisał „Expres“, p. Piłcki i zażądał natychmiastowego wypuszczenia swej żony. W toku wynikłej na tem tle dyskusji, p. Piłcki miał się zamierzyć laską na przodownika, spisującego protokół. Ten jednak w „czas“ zdolał się uchylić, tak że laska uderzyła go w ramię, przyczem się roztrzaskała. W tym momencie właśnie wszedł do komisariatu inny przodownik, który widząc powyższą scenę, obezwładnił p. Piłckiego. Ze sprawy spisano drugi protokół.

Rzeczy godne widzenia.

Tunis, po włosku Tunisi, stolica regencji Tunisu (Regence de Tunis) jest siedzibą francuskiego rezydenta generalnego, uniwersytetu muzułmańskiego i Banque de Tunis.

W Tunisie mieszka 14.000 francuzów, 37.000 włochołów i 160.000 arabów, maltańczyków berberów i murzynów.

Tu znajduje się węzeł kolejowy i największy port dla eksportu oliwy, migdałów, jarzyn i daktyli z Dżeridu. Prócz tego Tunis jest także jednym z największych rynków rybnych i miejscem, gdzie magazynują trawę morską i gąbki. Ale co najgorsze, to to, że Tunis posiada także cały szereg rzeczy, które należą koniecznie widzieć i ja, nieszczęśliwy, wszystkie te rzeczy widziałem!

Nie poczuwam się pomimo to do winy.

We wszystkich miastach od Hammerfestu do Bagdadu udało mi się uniknąć oglądania „rzeczy godnych widzenia“.

To też jeżeli w Tunisie zwiedzałem je, to całkowita winę ponosi mój uczony przyjaciel, Hussein ben Mustapha Abdeljedid, profesor uniwersytetu krajowego i członek „Grand Conseil de Tunisie“.

Oby mu Allah, wszechwiedzący i miłosierny, pan światów i władca gór, wybaczył.

Zaczęło się od tego, że Abdeljedid oczekiwał mnie w porcie, gdy wysiadłem z parowca „Gene-
ral Grevy“, który przewoził mnie z Marsylii do Tunisu.

Odprowadził mnie do hotelu. Tu zjedliśmy obiad, poczem mój przyjaciel udał się do siebie, a ja wybrałem się sam, by zwiedzić dzielnicę arabską.

W obcych miastach chodzę najchętniej sam i pozostawiam wszystko przypadkowi. Otóż przypadek ten chciał, że już po godzinie spotkałem mego przyjaciela. Siedział w małej arabskiej kawiarni i pograżony był w rozmyślanach.

— Dokąd idziesz? — spytał mnie, gdy położyłem mu rękę na ramieniu.

— Chcę zobaczyć sesję sądową w Ouzara, arabskim sądzie.

— Tam nie znajdziesz nic ciekawego — rzekł mi przyjaciel. — Najwyżej będziesz asystował przytem jak sądził poganacza mułów za kradzież siodła. Pójdźmy do europejskiego sądu apelacyjnego. Dziś toczy się sprawa przeciwko wydawcy „Nouvelles de Tunis“. Chodźmy!

O jakże głupi byłem wtedy!

Poszedłem. Biada mi — wszystko działo się jak w europejskim sądzie! Straciłem dwie godziny! Wyszedłem niepostrzeżenie i poszedłem sobie na rynek El Halfa-toune.

Krzyk, hałas, ścisł — obrazek z tysiąca i jednej nocy! Zaklinacz węzów gromadził do siebie tłumy gapiów najciekawszego pokroju.

Arabowie w burnukach i fezach zakwefione kobiety, mnóstwo dzieci, spahisowie i sam czcigodny iman meczetu Saba et Taba, na stopniach którego pisarz publiczny spisywał właśnie umowę po-

między dwoma brodatymi kupcami.

Na stopniach fontanny usadowił się opowiadać bajek. Obok niego zasłuchany sprzedawca wody i lemonjady.

Inny zachwalał ciasto daktylowe i inne jeszcze chleb, owoce!

Trzech uczniów w długich szatach kroczy poważnie wśród tłumów.

Z drugiej strony fontanny murzyn z Dakkaru z maską ptaka na twarzy tańczy wojenny taniec swej ojczyzny.

Tu wędrowny szewc, tam krawiec.

Słowem tłum wschodu, barwny krzykliwy i tak bardzo interesujący.

Nagle czuję, czyjaś ręka na moim ramieniu, to mój przyjaciel Abdeljedid, który mówi: — To nie są rozrywki dla Europejczyka, chodźmy do teatru, dają dziś „Romeo i Julia“!

Tunis posiada dwa oblicza. — Jedno z nich, to brama do wnętrza Afryki. Kto brame tę przekroczy, ten znajdzie się wśród cudów czarnego kontynentu.

A tuż obok leży małe francuskie prowincjonalne miasteczko, które mogłoby figurować zupełnie słusznie między Lyonem a Perpignan. Gdy tylko mogłem, uciekałem do arabskiego miasta i spędzałem godziny na jego ulicach, placach, w Souks i kawiarniach. Ale Hussein ben Mustapha Hussein Abdeljedid znał się dobrze na obowiązkach gościnności.

Nie dopuścił, bym zadowolony się w Afryce. Prawie siłą sprowadzał mnie ciągle z powrotem do Europy.

Prowadzony przez niego obejrzałem ratusz, liceum Carnot, redakcję „Depeche d'Afrique“, nowym gmach policji, pomnik J. Ferrv, Salon Tunisien, izbę handlową, bibliotekę francuską, stację meteorologiczną, teatr Rossini, wszystkie szkoły i garaż Maiestic! Widziałem to wszystko, niestety! Ale to nie był jeszcze koniec!

Ostatniego dnia mego pobytu, przyjaciel mój obiecał, że pokaże mi jeszcze jedną rzecz niezmiernie ciekawą.

— O Boże! — pomyślałem i udałem się wraz z nim do ogrodu botanicznego i zarazem parku.

Palmy daktylowe, magnolie, lotosy, kwitnace drzewa migdałowe, aleje róż, ficus nitida i chamerops excelsa, lasek bambusowy, gestwina krzewów, których nie znalazłem nawet w imieniu, słowem orgia flory afrykańskiej.

A pośród zielonej polanki — i o! — Zwyczajna północna i o! — To była ta ośmieszłość, która mi chciała koniecznie pokazać mój przyjaciel! Patrzył na mnie, a na twarzy jego widniał uśmiech tryumfu! Wtedy nareszcie zrozumiałem go.

Wyrósł pośród zaklinaczy węzów derwiszów, poganacz mułów i marzył o świetnych miastach północy a ideałem jego było liceum Carnot, Romeo i Julia, czy też i o! —

I wybaczyłem mu. Leo Perutz.

„Meksykana“.

Francuski lekarz dr. Rouher zwraca uwagę w fachowym piśmie medycznym „Medicine“ na nieznany w Europie środek narkotyczny, który działa na centra wzrokowe w ten sposób, iż człowiek doznaje pięknych wrażeń wzrokowych i każdy oglądany przedmiot wydaje się pełniejszą barwą, niż jest w rzeczywistości.

Narkotyk ten wydobywa się z meksykańskiego kaktusa, który nosi naukową nazwę: „Echinocactus Williamsi“.

Liście tej rośliny suszy się na słońcu, a następnie mleje na proszek.

W ten sposób powstaje narkotyk Meksykana.

Znaną on jest od dawnych wieków wśród ludów czerwonoskórych, zamieszkujących Meksyk i używają go do pogańskich obrzędów religijnych.

Meksykana potyka się w napojach, a po jej zażyciu występują

natychmiast sensacje wzrokowe. Każdy człowiek wydaje się wtedy piękny, najszkaradniejsza indjanka, Wenus Milońska, a świat nabiera dziwnie szlachetnego koloru.

Meksykana ma jednak właściwość bardzo zjawieną, zabija gruźlicę. Próby prowadzone z meksykańką dały bardzo dodatnie wyniki.

Czerwonoskóre plemiona, które często zażywają proszku z liści narkotycznego kaktusa, wolne są zupełnie od gruźlicy, jakkolwiek warunki w których żyją, bardzo sprzyjają rozwojowi tej choroby.

Meksykana ma jeszcze tę dobrą stronę, że organizm nie przyzwyczaja się do niej tak jak do innych narkotyków np. tytaniu, alkoholu, morfiny, opium i t. d. i każdej chwili można zaprzestać zażywania proszku, który z najgorszego pesymisty czyni optymistę miłującego życie.

Czytajcie „Głos Polski“.

CO DZIEŃ NIESIE?

CZERWIEC

12

Czwartek

Dziś: Janka W.
Jutro: Antoniego Pad.
Wschód s. o g. 5.16
Zachód s. o g. 7.55
Wschód k. 1.57 pp.
Zachód k. 1.20 pp.
Dług dnia 16 h. 29 m.
Przyb. dnia 8 g. 55 m.

Biblioteka Publiczna, ul. Andrzeja 14. Otwarta w dni powszednie od godz. 3 — 9 wiecz.

Miejska galerja sztuki, park im. Sienkiewicza zbiorowa wystawa artystów łódzkich i bieżące malarstwa, grafiki i zdobnictwa. otwarta od 10 r. do 8.

Czytelnia „Tow. przyjaciół Francji”, ul. Piotrkowska 103, otwarta codziennie z wyjątkiem piątków od 6—8 wiecz.

Dzisiejsze widowiska:

Teatr Miejski:

„Wywczas Don Juana”.

Teatr Popularny:

Przedstawienie zawieszono.

Teatr letni „Scala” w ogródku Variete:

„Casino”:

„Wyspa też”.

„Luna”:

„Złamana lilia”.

„Odeon”:

„Buffalo-Bill”.

„Grand-Kino”:

„Usta twe kłamia”.

Kino w spółdzielni pracowników państwowych:

„Przed ślubem i po ślubie”.

„Nowości”:

„Młodość zwycięża”.

Nowe kursy szoferskie

zawodowe i amatorskie
POLSKIEJ Y.M.C.A.

Kurs zawodowy obejmuje: teorię silników spalinowych, praktykę montażu i jazdy na osobowych i ciężarowych samochodach.

1-o miesięczne kursy dzienne i wieczorne (teoria i jazda).

Informacji udziela i zapisy przyjmuje Szkoła Szoferów, Al. Kosciuszki 68, od godz. 10—1 i od 4—9

Sprawa wdów po nauczycielach państwowych

(n) Jak się dowiadujemy, został wydany przepis wykonawczy do ustawy emerytalnej, które niedostatecznie tłumacza niektóre artykuły ustawy.

Otóż komunikujemy, iż wbrew temu, jak interpretują niektóre kuratoria, wdowy po pracownikach państwowych, a zatem i nauczycielach, które są pracowniczkami państwowymi, a więc i nauczycielkami, mają prawo do pobierania oprócz swej płacy i zaopatrzenia wdowiego, przewidzianego ustawą.

Regulacja rzeczki Jasień

Magistrat zaakceptował wniosek oddziału kanalizacji i wodociągów w sprawie wybudowania prowizorycznego wodospadu na rzeczce Jasień, w celu zabezpieczenia mostu przy szosie Pabianickiej oraz przyległych ulic.

Magistrat w Łasku jest licyfowany

(b) Naskutek niezapłacenia składek kasy chorob, wystawione zostały na licytację kasa, biurowa i szafy magistratu miasta Łasku, przeważnie dług wynosi 930 milionów mk.

Kradzież w pociagu

W czasie manewrów pociagu nr. 3394 kilku złodziei wyrzuciło z wagonu bele wełny, usiłując ją zabrać ze sobą, zostali jednakże spłoszeni przez służbę kolejową i uciekli.

Niedbalstwo czy spekulacja?

Sprawa podatku miejskiego od elektryczności i gazu, wynoszącego 15 procent od sumy rachunku za gaz, względnie elektryczność, wywleczona na radzie miejskiej, zakrawa na bezprzeglądny skandal.

Podatek ten na mocy decyzji władz centralnych został z dniem 1 stycznia 1924 roku zniesiony. Rozporządzenie jest jasne i kategoryczne. Tymczasem w Łodzi zarówno elekrownia, jak i gazownia w dalszym ciągu pobierała na rzecz miasta 15 procent od sumy wystawianych przez siebie rachunków i za pierwsze miesiące tego roku ściągła niewłaściwie od ludności miasta razem kilkadziesiąt milionów. Nawet na ostatnich rachunkach elekrowni i gazowni za miesiąc kwiecień, inkasowanych obecnie, pozycja 15 procentowego podatku miejskiego figuruje w dalszym ciągu.

Odpowiadając na pytanie w tej sprawie postawione, ławnik Kulamowicz imieniem magistratu stwierdził na plenum rady, że podatek ten pobierany jest przez wymienione instytucje bezprawnie i że nie został dotychczas przekazany kasie miejskiej.

Z drugiej strony znów elekrownia tłumaczy pobieranie podatku tem, że od magistratu nie otrzymała odwołania decyzji, nakazującej podatek ten pobierać, wobec czego utrzymuje ją w dalszym ciągu w mocy.

Trzeba się jednak zapytać, dla czego elekrownia tak skwapliwie na szkody ludności miasta korzysta z niedbalstwa magistratu? — Jeżeli magistrat zaniedbał zawiadomić oficjalnie elekrownię o zniesieniu przez rząd podatku od elektryczności, to bezsprzecznie ponosi winę, ale niemniej winna jest elekrownia. Elekrownia bowiem nie jest instytucją podległą magistratowi, która musiała za miarodajne dla siebie uważać tylko ukazy magistrackie. Obowiązkiem elekrowni było zwrócić magistratowi uwagę na fakt wygaśnięcia podstawy prawnej do pobierania podatku i zaniechać pobierania go, tembardziej, że według wielokrotnych zapewnień elekrowni obowiązek pobierania podatku miejskiego stanowił dla niej zawsze ciężar, połączone ze stratami materialnymi w postaci

konieczności utrzymywania specjalnego personelu dla prowadzenia podatkowego konta magistrackiego.

Przyznajemy, że w elekrowni czyta się „Dziennik Ustaw” i „Monitor Polski” i stosuje się do ogłaszanych tam rozporządzeń i instrukcji ze strony magistratu. Jeżeli celowo „przegapiono” rozporządzenie o zniesieniu podatku samorządowego od energii elektrycznej, to „przegapienie” trzeba zakwalifikować jako świadome i powstałe na podstawie cichego porozumienia z magistratem.

Niewiadomo na co spekulował magistrat, ociągając się przez sześć miesięcy z wykonaniem obowiązującego rozporządzenia. Ludność jednak musi się domagać wyjaśnienia i to w najbliższym czasie. Jeżeli magistrat nie wyjaśni natychmiast sprawę i nie zapewni poszkodowanym zwrotu bezprawnie wyłudzonej sumy, to odpowiedzialność całkowicie spada na elekrownię, która, jak dotychczas jedna zainteresowana jest w tej sprawie, gdyż pobrany za cztery miesiące podatek trzyma w swoich kasach, obracając nim na swoją korzyść. Gdyby rzeczywiście działała w dobrej wierze, podatek byłby wpłacony do kas miejskiej i sprawa wyjaśniłaby się dawno przy sposobności pierwszej wpłaty. Kasa miejska niewątpliwie nie przyzłaby sumy nieprawie dla niej inkasowanych.

Tak, czy inaczej, ludność nie może ponosić kosztów spekulacji tych posunięć magistratu czy elekrowni i domaga się zwrotu pobranych bezprawnie sum wraz z procentami za zwłokę.

Jak się dowiadujemy wielu konsumentów prądu elektrycznego i gazu odmawia zapłacenia przedkładanych obecnie rachunków za kwiecień i słusznie domaga się od elekrowni obrachunku. Protesty te muszą być uwzględnione, gdyż poszkodowanym w razie odmowy uwzględnienia ich żądań i zastosowania represji w formie wyłączenia instalacji przysługuje prawo zaskarżenia elekrowni o odszkodowanie. Wyrok, jak: musiałby zapłacić, łatwy jest do przewidziania.

Urzędowy rozkład jazdy, czy zbiór kiepskich dowcipów.

Wzorem kulturalnych zarządów kolejowych państw europejskich, wydało i polskie ministerstwo kolei żelaznych urzędowy rozkład jazdy, obowiązujący od 1 czerwca r. b.

Redakcję tego paradnego „Kursu bucha” powierzono wódczyni wóznemu prezydialnemu w ministerstwie kolei i kilku gońcom, gdyż roi się w nim od błędów i niesłychanie przykrych dla publiczności omyłek.

Miedzy innymi figuruje w tym rozkładzie jazdy szereg pociągów, które od niepamiętnych czasów zostały zniesione. Niema np. pociągu Warszawa—Paryż (express który w rozkładzie jazdy odchodzi z Warszawy o godz. 10 m. 5 wieczorem i przez Łódź-Kaliską jedzie w kierunku Poznania. Nie istnieje również pociąg, który o godzinie 4-tej po poł. z Łodzi kaliskiej odchodzi m. do Sieradza i z powrotem.

Takich omyłek w rozkładzie jest więcej jeszcze. Publiczność

tłumnie zalega stacje kolejowe i marnuje drogi czasu, narażając się przytem na bezceremonijne traktowanie ze strony personelu kolejowego, nie mającego sobie równieź równego w Europie pod względem uświadomienia o swych obowiązkach wobec pasażerów.

Trzeba jeszcze przytem nadmienić, że władze stacyjne i personel kolejowy kategorycznie odmawiają udzielania wszelkich informacji o rozkładzie jazdy i ograniczają się, przynajmniej na stacjach łódzkich, jedynie do zapychania miejsca w przejściach dla publiczności, by zmusić ją do duszenia się w ogonkach.

Jeżeli już konieczne trzeba zapychać, zanadto, zdaniem władz kolejowych, obszerne przejścia z peronu i na peron, to do tego celu możnaby z powodzeniem użyć worków lub desek, zamiast ugłowanych jęgotami, grających z marnem powodzeniem kolejarzy.

Zmiany w zarządzie tow. akc. I. K. Poznański w Łodzi.

Przewidywana i omawiana od dłuższego czasu w kołach łódzkich reorganizacja i zmiany personalne w tonie władz nadzorczych Tow. Akc. I. K. Poznański w Łodzi, zdaje się dochodzić do skutku.

Jak się dowiadujemy, dotychczasowy zarząd towarzystwa, złożony z członków rodziny Poznańskich ustępuje, zatrzymując jedynie swe miejsca w radzie nadzorczej.

Do zarządu wchodzi ludność

pełnie nowi. Miedzy innymi wejdzie do zarządu towarzystwa jeden ze znanych przemysłowców, czeckich oraz przedstawiciel grupy żyrdarowskiej.

Zarząd ten ma zamiar gruntownie zreorganizować interesy firmy Dotychczasowy dyr. towarzystwa p. Kaufman objąłby wyłącznie tylko administrację prywatnego majątku rodziny Poznańskich.

Prezesem rady nadzorczej zostanie prawdopodobnie p. Maurycy Poznański.

Sprawy robotnicze.

W błędnym kole zatargów o urlopy.

Dyrekcja fabryki Goldberg i Heiman, przy ul. 28 pułku Strzelców Kaniowskich wywoliła wszystkim robotnikom pracę na dwa tygodnie przed terminem.

Po odrobinie, robotnicy zażądali wypłacenia za czas urlopów, na co dyrekcja się nie zgodziła, motywując swą decyzję tem, iż robotnicy w lutym strajkowali przez trzy miesiące i czas ten brał im obecnie do prawa utrzymania urlopów.

Robotnicy zwrócili się do związku klasowego, z prośbą o interwencję. Przedstawiciel związku p. Zieliński, pertraktował z dyrekcją fabryki. Pertraktacje te do niczego nie doprowadziły, gdyż p. Heiman, nie chciał zgodzić się na udzielenie urlopów, wobec czego związek klasowy zatarg przekazał inspektoratowi pracy.

(j) Właściciel przedziału przy ul. Leszno, p. Alojzy Bauer, wywolił na murach swej fabryki ogłoszenie, w którym podał do wiadomości robotników, zatrudnionych w jego fabryce, iż wymawia wszystkim robotnikom pracę. Po odrobinie dwóch tygodni, robotnicy zażądali od właściciela fabryki, wypłacenia za czas urlopów, na co się jednak p. Bauer nie zgodził, motywując swoją odmowę tem, iż urlopy im się należały, gdyż nie przepracowali jeszcze roku. Robotnicy z początku próbowali sami zlikwidować zatarg z właścicielem fabryki, lecz po niefortunnych usiłowaniach, udali się do związku klasowego, prosząc o interwencję. Przedstawiciel związku p. Boliński udał się z delegacją robotników do inspektoratu pracy, gdzie złożył odpowiedni memoriał na ręce inspektora pracy.

Strajk w fabryce Blumenfelda.

(j) Właściciel tkalni ręcznej, przy ul. Zarzewskiej, Aron Blumenfeld, bez żadnego powodu wydal z fabryki swej dwóch robotników, którzy podług otrzymanych poufnie wiadomości przez p. B. podburzali przeciwko niemu robotników podczas zatargu, który powstał na tle nieplacenia za urlopy. Robotnicy po naradzie wysłali delegację do swego chlebodawcy, zaznaczając, że o ile nie przyjmie niesłusznie wydanych z powrotem do pracy, lub niewy-

placi im za okres dwutygodniowy porzucą pracę na znak protestu.

Pan Blumenfeld, delegacji nie przyjął, lecz zamknął się wraz z administratorem na klucz w swoim gabinecie. Ponieważ pertraktacje do niczego nie doprowadziły, gdyż właściciel fabryki nie przyjął delegacji, ani też nie uwzględnił żądań, które robotnicy do niego piśmiennie złożyli w kantorze fabrycznym, robotnicy na znak protestu porzucili pracę.

Różnosa przyczyny bezrobocia w Łodzi.

(i) Dyrekcja tkalni mechanicznej, należącej do Gottlieba Lewina, wydal z fabryki dwie robotnice, które rzekomo nie dość wydatnie pracowały. Robotnicy stając solidarnie w obronie wydalonych, zażądali od dyrekcji, bezwzględnego przyjęcia ich z powrotem do pracy, grożąc w przeciwnym razie strajkiem. Ponieważ p. Lewin, nie uwzględnił żądań robotników, ci na znak protestu porzucili pracę, przystępując do strajku, który trwał dwa miesiące. Robotnicy zwrócili się do związku klasowego, prosząc o interwencję. Konferencja odbyła się w zeszłym miesiącu. Podczas konferencji, inspektor pracy, zwrócił uwagę Lewinowi, że

nie miał prawa wydać bez powodu robotnicę z fabryki, nie placąc im przytem za dwa tygodnie tytułem wymownienia i za urlop. W rezultacie p. Lewin przyjął z powrotem robotnice do fabryki, a robotnicy przystąpili do pracy.

Po pewnym czasie robotnicy zażądali od właściciela fabryki udzielenia im urlopów, lub wynagrodzenia za takowe. Lewin odmówił żądaniom ich, twierdząc, iż urlopy nie należą się robotnikom pracującym w jego fabryce, gdyż fabryka była nieczynna przez dwa miesiące nie z jego winy. Robotnicy porzucili pracę, wysyłając jednocześnie delegację do inspektoratu pracy z prośbą o zlikwidowanie zatargu.

Zatarg na tle redukcji.

(i) Właściciel tkalni mechanicznej przy ul. Gdańskiej, p. Szymon Aronowicz tłumacząc się brakiem surowców i zamówień, zamierzał przeprowadzić redukcję pracujących robotników. Robotnicy wysłali do właściciela fabryki swych delegatów z prośbą o uruchomienie fabryki na 2 dni w tygodniu i zatrzymanie przy pracy wszystkich robotników, którzy pracowali do dnia wczorajszego, wolał oni to bezwzględnie niż pracować przez 4 dni przy zredukowa-

nym składzie do 50 procent. Właściciel fabryki, nie zgodził się na taki podział pracy. Ponieważ robotnicy nie mogli sami dojść do porozumienia z p. Aronowiczem, zwrócili się do związku klasowego z prośbą o interwencję. Związek wydelegował swego przedstawiciela p. Bielickiego, który jednak również nie mógł dojść do porozumienia z właścicielem fabryki, wobec czego, robotnicy skierowali sprawę do inspektora pracy.

Nieporządki sanitarne na posesjach.

(p) Milił Gaizler, zam. przy ul. Aleksandrowskiej 24, Galas Abram Brzezińska 4, Laks Lajbus (Brzezińska 32), Kozalski Józef (Brzezińska 28), Grajcer Iosek (Brzezińska 23), Prochownik Miodel (Zgierska 5) Zachariasz Perszt (Berka Jozefowicza 14), Toruńczyk Jozek

(Franciszkańska 26), Helochowicz Iosek (Nawrot 14), Lubochński Chaim (Podrzeczna 11), Berdel Lajzer (Podrzeczna 3), Różga Moszek (Drewnowska 13) i Bornsztajn Jankei (Rybna 9), zostali pociągnięci do odpowiedzialności za nieporządki na ich posesjach.

Na łódzkich ekranach.

„LUNA” „Złamana lilia”.

Znowu jeden z nielicznych, szczególnie w ogólnym sezonie letnim, obrazów, stojących na szczycie sztuki kinematograficznej. Reżyser „Złamanej lili” użnał całkiem słuszenie, że tem tragicznych przeżyć biednej, szlachetnej dziewczyny i budzącej się miłości syna Chin do tej niewin. lili musi być zacisze. Niema więc wielkich efektów w wystawie, niema tłumów i frapujących scen zbiorowych. Ale wynagradza te rzekome braki idealną kontemplacją i cichą gra artystów. — Liliana (Gish) wstrząsa do głębi sercem widza i wyciska łzy

współczucia z najbardziej zakamiennymi dusz. A partner jej znamiennie wylżył się w psychice żółtego kochanka i ani przez chwilę nie wychodzi z niezwykle trudnej roli, zastępując wszystkie efekty niepowodzenia głęboką ucieką postaci.

Okiec biednego dziewczątka, zwierze w ludzkiej postaci — to również typ świetny, odtworzony z imponującą brutalnością i maksymalnym realizmem. Gra tej trójki jest skończonym arcydziełem, a film jest dla każdego miłośnika dziesiątą muzyką ucztą artystyczną. —

SPORT.

Na marginesie zawodów
Ameryka—Polska.

Mecz Ameryka—Polska, który odbył się w dniu 10 b. m. w Warszawie, przynosił naszej „reprezentacji” kleskę w stosunku 3:2, był jednym wielkim skandalem sportowym.

Drużyna amerykańska przedstawia się bardzo okazale, lecz co do techniki i strzałów na bramkę pozostawia wiele do życzenia; każdy lepszemu zespołowi A klasowy polski, dążyć sobie z nią rade i wyszedłby z amerykańskimi lepiej, niż nasza „olimpijska” drużyna.

Przedwcześnie mogłoby z latwością pokonać olimpijczyków amerykańskich, co bezwzględnie przewidywało się do propagandy sportu polskiego zagranicą.

Z powodu niemożności P. Z. P. N. mecz przegraliśmy. Cała odpowiedzialność spada na panów dygnitarzy sportowych z Krakowa, którzy przez zaśnięcie w swej polityce lokalnej z karjogdą lekkością zestawili „olimpijską” drużynę.

Czy P. Z. P. N. chce proteżować piłkarzy krakowskich, niema tuż do wyboru lepszego i doświadczonego, które godnieby reprezentowały Polskę. Poza tym najwyższy czas zapomnieć o bezsensownej polityce reklamowania graczy galicyjskich, których gwiazda z dniem każdym blednie.

Zbliżała się znowu zawody międzynarodowe, które jednak, przy dotychczasowej polityce P. Z. P. N., mogą w zupełności zbliżać sport polski poza granicami kraju. Niech panowie z P. Z. P. N. namietają o tem, że na zawody międzynarodowe musimy zebrać całe swe siły, żeby godnie przeciwstawić się drużynom, które nie będą sztywno wyznaczane przez władze, istniejące od dziesiątków lat, podczas gdy my pracujemy na niwie sportowej od powstania niepodległej Polski.

Razem bledem jest pominięcie Hankego przy składaniu reprezentacji, gdy, gracz ten przy swej niezwykłej pracowitości jest elementem wartościowym i w najbliższym czasie polskim powiennym otrzymać posterunek.

Jest jeszcze wielu graczy w Łodzi, Toruniu, Katowicach i innych miastach, którzy powinni bronić barw Polski.

Charakterystycznym jest, że publiczność warszawska, która nie bardzo lubi sportowców łódzkich, no w końcu „olimpijczyków” P. Z. P. N. niemilknącymi okrzykami domagała się Karasia. Lecz ten pozostał w Łodzi, jako że wogóle pan kapitan zwiazkowy nie wie, a może nie chce wiedzieć, że tylko należało dobrać z graczy

łódzkich i poznańskich, gdyż tam są one najlepsze.

Rezultatem dotychczasowej polityki P. Z. P. N. winny być nowe wybory, w których świat sportowy podkreślił napewno niedwuznacznie, że ma już dość lokalizmu i jednostronności, krzywdzącej nasze barwy, a będącej istotą działalności naczelnych władz P. Z. P. N. Sten.

Piłka nożna.

LWÓW.

Makkabi Berno — Pogoń 5:1 na korzyść Makkabi, do przerwy 3:2 na korzyść Pogoni. Vivo Buda-peszt — Hasmona 5:1.

WILNO.

Wilja — Z. A. K. 5:0 (4:0), Z. A. K. — Strzelec 5:1 (3:1).

MYSŁOWICE.

Mysłowicki Klub Sportowy — Posenia 3:1 (0:0).

WYNIKI WIEDŃSKIE.

D.F.C. — Hakoah 5:0 (1:0). Royal Antwerp — Rapid Wiedeń 0:0. Royal Antwerp — Hakoah Wiedeń 1:0 (0:0). Vienna — D.F.C. 3:1 (1:1).

Narody czy drużyny
footballowe.

Znany z dowcipu felietonista parwskiego „Journala” Clemens Vautel podrywa sobie z szumnych ogłoszeń wyników footballowej olimpiady. A zatem np. Szwecja bije Belgię. Jakto — żartuje Vautel, Szwecja bije Belgię, a Francja nie spieszy swemu sprzymierzeńcowi na pomoc? — Albo Egipt bije Węgry, na miłość Boga, powiada V., a co się tu dwa narody właściwie biją? „Urugwaj bije Stanów Zjednoczonych”. W Japonii powinno się urządzić iluminację, ale na miłość boską, gdzie liga narodów?

Czy nie wystarczyłoby, zapytuje Vautel, napisać prosto footballowa drużyna swoich przeciwników luksemburskich. Wszak można bardzo lubić i silnie popierać sport, zdając sobie jednak z tego sprawy, że chodzi tu tylko o mecz footballowy a nie o losy narodów.

Ważne dla właścicieli domów!

Kwintaryjusz Komornik
oraz
wykazy komornego i świadczący
podług ostatniego rozporządzenia
poleca: 5-3
A. J. Ostrowski Piotrkowska 55, tel. 354.

Dziwna tragedia mał-
żeńska.

We Lwowie rozegrał się krwawy dramat małżeński. Młode małżeństwo znalazło się przed krakami sądowymi z powodu obrazę, popełnionej przez urzędnika izby skarbowej we Lwowie Kłosowskiego, wobec własnej żony. Sąd skazał męża na 3 dni aresztu. Po wyroku i opuszczeniu sali sądowej gdy oboje Kłosowscy znaleźli się w głównej bramie sądu, Kłosowski wydobł rewolwer i dwukrotnie strzelił do żony raniąc ją w szyję i czaszkę koło ucha. Następnie, zanim przerażeni świadkowie zdolali temu zapobiec, popełnił samobójstwo, strzelając sobie w usta.

Oboje ciężko rannych odesłano do szpitala powszechnego, w stanie bardzo groźnym. Szczególnie stan Kłosowskiego uważa się za beznadziejny.

Straszliwa tragedia wzbudziła w mieście zrozumiałe wrażenie.

Utrwalone zwłoki.

W gminie włoskiej Ferentillo stwierdzono w tych dniach — jak opowiadała dzienniki włoskie — niezwykle zjawisko.

Ekshumowano tam zwłoki pewnej dziewczynki, zmarłej przed czterema laty i zwłoki pewnego starca, zmarłego jeszcze dawniej, bo przed dziesięcioma laty, dla przeniesienia ich w inne miejsce. Rodzina zmarłych przyniosła na cmentarz dwie wielkie skrzynki drewniane, spodziewając się, że w mogiłach znalezione będą już tylko szczątki kości nieboszczyków.

Jakież jednak zdziwienie ogarnęło wszystkich, gdy w rozkopanych mogiłach znaleziono nie uszkodzone trumny i zwłoki tak do brzo zachowane, że rysy zmarłych nie uległy prawie zmianie. Rodzice dziewczynki pomdłeli na widok zwłok córki tak świeżych, jakby wczoraj złożone były do grobu.

Tak doskonałe zachowanie niezabalsamowanych zwłok przypisują lekarze szczególnym właściwościom utrwalającym gruntu w tej okolicy.

PALI SIĘ

papierosa lub cygaro nabyte u
JANA KAUTZA

Piotrkowska Nr. 92

ze szczególną przyjemnością
gdyż przechowywanie i odpo-
wiednie konserwowanie tyto-
niów, papierosów i cygar jest
wyłączną tajemnicą

JANA KAUTZA

Piotrkowska 92.

Czy ubóstwo hańbi?

W czerwcu 1922 r. urządzono w Paryżu wystawę dzieł znanego prowansalskiego malarza Adolfa Monticelli.

Z inicjatywy komitetu urządzającego wystawę malarz holenderski Kees van Dongen wygłosił prelekcję o Monticellim, wydrukowaną później w dodatku literackim w dzienniku „Gaulois”. Van Dongen powiedział m. in., że słynny malarz który tak decydujący wpływ wywarł na szkołę impresjonistów francuskich nie był przez współczesnych dostatecznie oceniany. I dlatego podzielał los wielu innych ludzi, t. j. cierpiał biedę.

Siostrzeniec znakomitego malarza, jego uniwersalny spadkobierca Ludwik Monticelli uczył się obrazowania wywodami van Dongena i oświadczył, że uważa twierdzenie holenderskiego malarza o biedzie jaką cierpiał jego wuj za obraźliwe i żąda cofnięcia tych słów, w przeciwnym bowiem razie zaskarży autora artykułu o obrazę czci.

Kees van Dongen i naczelny redaktor „Gaulois” musieli stawić się przed sądem. — W sali sądowej wszczęła się dyskusja na temat, czy ubóstwo hańbi. Obroncy oskarżonych wykazywali, przyta-

czając przykłady z życia wielkich artystów, że ubóstwo wielkiego artysty może być uważane raczej za dyplom szlachetności duszy. N. p. Michał Anioł, który w rzeczywistości był bardzo dobrze sytuowany, ukrywał się swoja materialną pozycją, ponieważ uważał, iż to wstyd dla artysty jeśli jest bogaty. Poeta francuski Andrzej Chenier opiewał ubóstwo w pięknych wierszach. Się przychylił do tej opinii, i uznał, że skarga przeciwko van Dongenowi jest niedopuszczalna.

Ludwik Monticelli nie dał jednak za wygraną i prowadził proces dalej. W ostatnich dniach maja Kees von Dongen i redaktor musieli znowu zasiać na ławie oskarżonych, przyczem tym razem towarzyszył im Kamil Maclair, który osobno napisał rozprawę o Monticellim, powtarzając w niej owo „haniebne” twierdzenie, że Adolf Monticelli żył w biedzie.

Po wysłuchaniu przemówień obrońców, przewodniczący trybunału oświadczył, że wyrok zostanie wydany za tydzień. Wtedy dopiero Paryż dowie się, czy ubóstwo hańbi artystę czy też nie.

Waż lekarzem.

Przebywający dla studiów na Sumarze dr. med. Van Dartingen zrobił spostrzeżenie, mogące mieć ważne następstwa dla leczenia reumatyzmu i artretyzmu. W lasach Palambangu znajduje się w znacznej obfitości małe rudawe weżyki zwane przez krajowców „kosta”. Ukąszenie przez te płazy wywołuje silne podrażnienie tkanek zaskórnych, połączone z zaczerwienieniem i lekką opuchlizną. Objawy te w ciągu dwóch dni przechodzą. Dr. D. w czasie pobytu na Sumarze sam nabawił się silnych bólów artretycznych w rękach i nogach. Ukąszone wypadkiem przez „koste”, zauważył, iż bóle, trapi-

ące go od dłuższego czasu, po ukąszeniu znacznie się zmniejszyły. Powtórzył doświadczenie i doszedł do wniosku, iż niewinny iad tych węży jest lekarstwem na reumatyzm. Gruździek, wydobyt z węży z owym jadem, nie stracił siły leczniczej nawet po wystąpieniu na działanie powietrza. Wyłazła dokonał szeregu prób z chorymi krajowcami, którzy po zastrzyknięciu jadu doznali znacznej ulgi. Dr. D. o swoich spostrzeżeniach zawiadomił lekarzy holenderskich i angielskich. Obecnie pracuje nad urządzeniem wylegarni tych pożytecznych stworzeń.

Bezkrwawa chirurgia.

W szpitalu braci Alekjan w Chikago, wprowadzono po raz pierwszy noż-radio do dokonywania operacji. Wyniki tej nowości jak głosią dzienniki, przeszły wszelkie oczekiwania. Noż ten odłącza chore części organizmu spalając

tkanki w taki sposób, iż operacja jest zupełnie bezkrwawa, co dla zdrowia chorego ma nader doniosłe znaczenie. Kilka operacji do tej pory dokonanych odbyło się zupełnie pomyślnie.

FRANCIS CARCO.

WUJ.

Po białych drogach ogródka babka toczyła wózek wujka. Doskonale pamiętam klombów otoczone ceramikami, długie starannie wygrabione aleje i niskie galezie drzew.

Wuj przebiegał nalcami na kołdrze, pokrywającej jego kolana. Bebnął niemi, przekładał je a potem siedział spokojnie z otwartymi ustami, dyszac ciężko.

Byłem wtedy hałaśliwym dzieckiem, wuj mi się bardzo niepodobał, bałem się jego nieruchomego i ciężkiego wzroku.

To też z diabelską radością przelatywałem nad jego głową na desce huśtawki. Onferalem się mocno nogami, nadawałem desce szybki ruch, sznurw drżały haki skrzyni, a ja przelatywałem w szalonym pedzie ponad głową wujka, który wydawał nieokreślone jakieś dźwięki i ze strachem machał rękami.

Oddano mnie do liceum. Dowiedziałem się tam niezwykłych rzeczy. Nauczyciel oświadczył mi pewnej chwili:

— Janie Pawle Pené Cacheoise urodził się dnia 3 lipca 1880 r. w Numei na Nowej Kaledonii?

— ?

— Bedziesz w pierwszej klasie! Czuję babka moja nie wiedziała, gdzie się urodziłem? Chciałem odpowiedzieć, że urodziłem się tu, u nas, w Saint Bruno!

Miałem nawet wielką ochotę płakać z tego powodu.

Nauczyciel położył swa ciężką rękę na mojej głowie i rzekł:

— Jesteś poczciwym chłopcem! Moi koledzy grali w piłkę na dziedzińcu. Udałem się do nich ale nie grałem z nimi. Nudzili mnie. Wolałem się przechadzać i rozmawiać. Myślałem często o owej wyspie, na której się urodziłem. Wyteżałem pamięć jak mogłem, ale nie pamiętałem nic!

Babka przychodziła do mnie co czwartek i przynosiła mi jakocie. Wuj jest chory — mówiła za każdym razem.

W niedzielę chodziłem na dalekie spacer.

— Gdy obecnie przypominam sobie moje dzieciństwo, widzę ciągle drogę twarz babki, która nucąc, pochyla się nademną. Widzę poczekalnię naszego liceum z jej nagłymi szaremi ścianami i kilkoma świetlami obrazkami i portretami prezydentów.

Ale nie mogę zebrać reszty moich wspomnień.

Jednak bardzo często i dziś jeszcze dziwne uczucie ścisła mi serce, gdy przypominam sobie jak wtedy otwierałem mądre geograficzne i patrzyłem na niebieskie tło, na którym wyrysowane były wyspy Numea, Dombea, Nou, zatoka Dam...

Nazwy te wywoływały w sercu mem dziwna tęsknotę i smutek. W pamięci mej powstawały dalekie blade wspomnienia podróży jakichś. Ale jak zebrać te wspomnienia?

Jak wyjaśnić te tajemnice.

I oto pewnego majowego wieczoru, (nie wiem jak się to stało) w pamięci mej wpłynęło nagle imię naszego starego służącego Arona.

Był to wysoki, żwawy człowiek...

Nadchodziły wakacje. Kasztany już kwitły, a wszędzie pełno było bzękających pszczoł, które przylatwały z ogrodu.

Powrót do domu był bardzo miły. Wszystko wydawało mi się dziwne niekiedy i pełne wdzięku. Wysoka trawa pokrywała ogród. Różne kwitły po wszystkich kątach a gęwnie pleły się po starym murze. W tem otoczeniu o pamięci mej powstawały dalekie i niejasne wspomnienia. Nasz mały domek w Sant Bruno przypomni-

nał mi inny jakiś dom i inny jakiś ogród, w którym bawiłem się jako dziecko. Ale lian i palmów, mimozy i storczyki zastępowały tam róże i glicynie.

Wtedy opowiadała mi dziwna potrzeba wypowiedzenia się.

Babka zajęta pielęgnacją wujka nie spostrzegła mego podniecenia i mego gadatliwości.

Byłbym chętnie krzyczał: Czy pamiętasz niski dach naszej wendy, czy pamiętasz drzewo manowe i eukaliptusy w ogrodzie?

Czy pamiętasz brzoskwinie, kwitnące palmę i granaty rozkwitłe?

Powietrze ciężkie było od woni cynamonu i rozpalone od słońca. A nad murem ogrodowym chwilała się aloes i kaktusy, wyciągając w powietrze swe kolczaste ramiona.

Ale wszystko stało się inaczej. Wuj umierał.

Trzymano mnie zdala od niego, a ieno spojrzenie na jego siwą i opuchłą twarz wstarczało, by stwierdzić, że koniec był już bliski.

Prawde powiedziawszy, śmierć ta zupełnie mnie nie obchodziła. Choroba jego była bardzo nieprzyjemna, a nawet dla dziecka, jakim ja wtedy byłem.

Pomimo to rósł we mnie dziw-

ny niepokój. Stałem się ponurym, dziwaczny i niecierpliwym.

Zamykałem się w swym pokoju i wieczorami nie mogłem w żaden sposób usnąć.

Zegar wydzwaniał jedenasta, dwunasta, pierwsza...

Tego wieczora ułożyłem się do snu później niż zwykle.

Lampa oświetlała swem czerwonym światłem moje książki i zeszyty.

Nagle ktoś zapukał do drzwi. Wstałem i otworzyłem. Babka stała na korytarzu i dała mi znak bym poszedł za nią.

Leżał na szerokim łóżku, na którym zwykle spiała babka. Twarz jego była spokojna i czysta. Palce obejmowały krucyfiks z kości słoniowej.

Wtedy dziwna jakaś i ogromna rzewność zalała mi serce. Upadłem w objęcia babki, która szepotała:

— Ucałuj go.

Doniero po wielu latach dowiedziałem się strasznej prawdy.

Wuj był moim ociem. Powrócił z Kolonii. W Nomei nabawił się febrą. Matka monia umarła tam, a on wrócił i do końca życia pozostawał nieporęcznym i nie poznał ani matki swej ani swna...

Tum. Et.